

Wilki i ludzie

Zewsząd słyhać biadania nad sukcesami populistów i demagogów, ale warto zapytać: czy liberalna władza nie oddaje im pola? Uznanie, że bezpieczeństwo obywateli jest mniej ważne od losu wilków, ideałów resocjalizacji czy mrzonek świata bez granic, to mocny dowód abdykacji państwa – pisze Dariusz Karłowicz w felietonie na łamach tygodnika „Sieci”

Jak informuje portal „Politico” wilki stały się w Europie kwestią polityczną. Liczba wilków gwałtownie rośnie, a drapieżniki – takie ich wilcze prawo – dziesiątkują stada. We Francji – jak czytamy – tylko w zeszłym roku zabiły 10 000 owiec. Nic więc dziwnego, że odwieczny konflikt między wilkami a pasterzami stał się konfliktem między politykami działającymi w imię przywrócenia dzikiej przyrody i bioróżnorodności, a tymi, którzy uważają, że hodowcy powinni mieć prawo do obrony. Problem w tym – czemu nie przeczą podobno nawet przedstawiciele zielonych – że przed rosnącą populacją wilków niepodobna bronić się inaczej niż przez zakazany i karany surowo odstrzał. Sytuacja jest patowa. Bruksela nie zgadza się na strzelanie, a farmerzy biorą sprawy w swoje ręce. Nie chcę udawać, że potrafię ocenić czy i jaka liczba wilków korzystnie wpłynie na Europejską przyrodę, ani, że znam niuanse unijnej polityki w tej kwestii. Interesuje mnie, problem ogólniejszy. Chodzi o kwestię bezpieczeństwa. Mamy tu przykład sytuacji, w której państwo odmawia obywatelom ochrony, a

odruch samoobrony piętnuje jako barbarzyński, niezgodny z duchem dziejów i – w konsekwencji – karalny. Przykład moim zdaniem typowy i znaczący.

W dzisiejszej Europie słyszymy coraz częściej, że kiedy bezpieczeństwo wchodzi w kolizję z jakimiś innymi wartościami (zwłaszcza tymi, które należą do liberalnej lub lewicowej agendy) to właśnie bezpieczeństwo musi ustąpić

Obowiązkiem państwa jest zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa. To jeden z niekwestionowanych celów każdej władzy. Można wyobrazić sobie państwo, w którym nie ma opieki socjalnej,

powszechnego szkolnictwa czy służby zdrowia – ale wysiłki na rzecz bezpieczeństwa są poza dyskusją nawet zdaniem radykałów spod znaku państwa minimalnego. Tak było do niedawna. W dzisiejszej Europie słyszymy coraz częściej, że kiedy bezpieczeństwo wchodzi w kolizję z jakimiś innymi wartościami (zwłaszcza tymi które należą do liberalnej lub lewicowej agendy) to właśnie bezpieczeństwo musi ustąpić.

Przykładów nie brakuje i nie chodzi wcale wyłącznie o budżety na wojsko czy policję. Weźmy ewolucję w sposobie traktowania groźnych przestępców. Czy ryzyko recydywy w postaci kolejnych zbrodni nie okazuje się koniecznym kosztem resocjalizacji? A islamski terroryzm? Coraz częściej słyszę, że musimy się z nim pogodzić – ideały multikulturalizmu są przecież ważniejsze. Problem wilków mieści się w tej samej logice. Niestety nie są to wcale problemy cudze – jakieś

szaleństwa odległego Zachodu. Mieszkańcy przerażeni krążącymi po ulicach watahami dzików, to niestety rzeczy dobrze znane również w Polsce.

Nie chcę powiedzieć, że są to sprawy proste. Nie jestem zwolennikiem kary śmierci, ograniczenia praw mniejszości, rozumiem, że ochrona przyrody może wymagać pewnych ofiar. Chodzi mi o rozłożenie akcentów, o klimat, w którym argument z bezpieczeństwa znika z pola widzenia politycznych eksperymentatorów. Kiedy czytam o zbrodniach dokonanych nazajutrz po wyjściu w więzienia, albo słucham polityków, którzy przekonują, że terroryzm, to normalność do której należy przywyknąć, to mam wrażenie, że – mówiąc językiem liberałów – władza wypowiada obywatelom umowę społeczną, że wracamy do stanu natury.

*To, co jeszcze 30 lat temu
uchodziło za ekstrawagancję
stało się prawem. I nie chodzi
tylko o ekologię czy
transhumanizm. Sprawa
polega na głębokim
przekonaniu, że trzeba się
poddąć i jednostronnie
rozbroić i wtedy będzie
pięknie*

Zewsząd słyhać
biadania nad
sukcesami
populistów i
demagogów, ale
warto zapytać: czy
liberalna władza nie
oddaje im pola?
Uznanie, że
bezpieczeństwo
obywateli jest mniej
ważne od losu
wilków, ideałów
resocjalizacji czy

mrzonek świata bez granic, to mocny dowód abdykacji państwa. Czy trzeba powtarzać truizm o związku słabości z tyranią? Słabe państwo otwiera drogę tym, którzy chętnie wprowadzą porządek.

Pokolenie 68 kończy marsz przez instytucje legalizując swoje dawne marzenia. To, co jeszcze trzydzieści lat temu uchodziło za ekstrawagancję stało się prawem. I nie chodzi tylko o ekologię czy transhumanizm. Sprawa polega na głębokim przekonaniu, że drogą do harmonii jest biała flaga, że trzeba się poddać i jednostronnie rozbroić i wtedy będzie pięknie jak w Lenonowskim „Imagine”.

Coraz częściej myślę, że siedemdziesiąt lat pokoju gwarantowanego przez USA doprowadziło Europejską kulturę do zdziecinnienia. Obecność amerykańskich wojsk, aktywność kontrwywiadu i dyplomacji dawała darmo to, o co zwykle trzeba się trudzić. Polityczna fabryka Europy produkowała wszystko poza towarem podstawowym – martwiła się o handel, ekologię, sprawy socjalne, sex i kulturę – ale tę bodaj najważniejszą sprawę dostawała w prezencie. W końcu Europa uwierzyła, że pokój zawdzięcza sobie, a zła Ameryka tylko ogranicza jej wolność. Kulturowe koszty tej faktycznej niesuwerenności widać na każdym kroku. „Obywatele nie chcą się bronić” – bo przestali wierzyć w konieczność uprawiania prawdziwej polityki. Dramatyczny dylemat, który stanowi główny temat podmiotowej polityki – dylemat właściwych proporcji między bezpieczeństwem a innymi wielkimi wartościami (na czele z wolnością) został rozstrzygnięty z niefrasobliwością Króla Maciusia Pierwszego. Można nieraz odnieść wrażenie, że represjonowany jest sam odruch samoobrony. Wszystko jedno czy idzie o Putina, terroryzm, energetykę czy o wilki.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 49/2017